Rok IV.

Nr. 23. Nr. 23.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 7 czerwca 1874.

Ulica Wodna Nr. 15.

Oświadczenie.

Zaręczam pod słowem czci polskiéj, że artykuł podpisany przezemnie — wydrukowany w numerze 21 niniejszego pisma — z napisem: Sprawa budowli teatrzyku polskiego na podwórku p. Hebanowskiego w Poznaniu napisałem i wydrukowałem jak i wszystko dotąd bez wiedzy i woli i bez żadnego wpływu zacnego szan. pułkownika **Edmunda Callier**, który jest w obec rządu nakładcą i właścicielem „Tygodnika Wielkopolskiego“, ale ja ponoszę koszta administracji i expedycji — oraz przyczyniam się do kosztów nakładu. Po odpadnięciu abonentów blizko 60 w skutek artykułów moich o teatrze poznańskim i o oświacie ludowéj — ponoszę ja sam straty, — i ułożyłem się o nabycie zupełne na swoją wyłączną własność Tygodnika Wielkopolskiego od 1 lipca b. r.

Otóż wspomniany mój artykuł naraził pułkownika Edmunda Callier na nieprzyjemności w jego stanowisku: Administratora Dziennika Poznańskiego, którego to pisma akcjonarjuszami są prawie wszyscy członkowie Rady Nadzorczéj, Dyrekcji i t d. Spółki Akcyjnéj pod firmą: „Teatr polski w ogrodzie Potockiego w Poznaniu“, — a redaktorem sam referent p. Franciszek Dobrowolski.

Że pułkownik Edmund Callier wyraźnie żądał, ażebym zupełnie popuścił tę według mego przekonania nieczystą sprawę narodową w naszym Tygodniku, przez wzgląd na njego — drukuję moją odpowiedź Dziennikowi Poznańskiemu na jego artykuł w numerze 118 — w odrębnéj broszurce, którą za przesłaniem do mojéj xięgarni pod firmą K. Rejzner, ul. Wodna Nr. 15 w markach wartości 5 sgr. czyli 15 xr. doręczę franco — interesentom, — bo będąc niezawisłym, nie ulegnę żadnemu terroryzmowi — a mianowicie źle kierujących narodową sprawą ziomków.

Władysław hr. Chotomski.

Opieka i Opiekunowie.

Powieść

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

X.

Wiosna umaiła drzewa i krzewy — kwieciem biało-różowém odmłodzone zwieńczyła gałązki. Na trawniku, jakby z puchu zielonego usłanym — świeżutkim — uśmiechnięte niby, rozłożyły się barwne aurykle — paciorzyki wdzięczne — fiołki wonne i bielutkie narcyzy. W przestworzu pozłoconém przedzachodniém światłem, szare świegotały śpiewaki.

Ździś wesoło skakał między klombami. Nauczyciel jego poważnie — z książką w ręku — postępował za nim.

Biedny zaś chory siedział w krześle poręczowém, zwrócony ku oknu, które wychodziło na ogród. Patrzył w zieloną przestrzeń — boleśnie zamyślony, czyli apatycznie obojętny — trudno było odgadnąć: twarz jego nieustające wyrażała cierpienie — fizyczne, a podobno i moralne. — Widział skakającego wesoło braciszka — widział młodą zieleń — kwiaty — przecudny błękit nieba; słyszał skowronki ochocze — niekiedy doleciał odgłos raźnéj piosenki wiejskiéj dziewuchy, pielącéj kwietne zagonki — lub rzewna ogrodniczka legawka*). Wszystko nowém tchnęło życiem — nadzieją — weselem — uczuciem — a sam umierał!... Umierać musiał!

Na niskim taburecie obok brata siedziała Cecylja i haftowała dlań czapeczkę: srebrem na aksamicie amarantowym. Opodal Stefan czytał głośno jakieś nowiny z gazet.

Adolf przymknął znużone powieki — a potém zwrócił oczy, jakby łzą zamglone ku siostrze. Pogłaskał ją po głowie. Uścisnęła rękę jego i z uśmiechem — z uśmiechem wymuszonym spojrzała mu w zamglone źrenice.

— Czy nie chcesz czego, Adolfku? zapytała.

— Niczego! odszepnął, i zacisnąwszy usta, obrócił się ku Stefanowi. Ten na chwilę czytać przestał.

— Któraż godzina? chory zapytał zcicha.

— Czwarta — odrzekł Stefan, spojrzawszy na zegarek.

— Już czwarta?! odszepnął. Pot gęstemi kroplami na blade, jak pergaminowe wystąpił mu czoło.

— Czemuż ciebie to dziwi? Cecylja dłoń jego ujęła — palącą i suchą.

— Tak też... Dzień ma się... ku schyłkowi... a taki piękny!... Taki piękny!... westchnął i znowu przymknął powieki, jak gdyby tego dnia pięknego już i widzieć nie chciał.

Weszła pani Węgielewska, położyła dłoń na ramieniu syna i pocałowała go w czoło.

— Jakże ci? zapytała.

— Bardzo dobrze — odrzekł z oddźwiękiem ironji gorzkiéj — bardzo... dobrze.

— Och będzie wkrótce dobrze! Odzyskasz zdrowie zupełne!

— Zapewne!... Zapewne! wymówił przez zęby, gdy jego posiniałe skrzywiły się usta. — Skończy się cierpienie...

— Niezadługo będę z tobą wyjeżdżała w pole, do lasu, to ciebie orzeźwi!... Potém pojedziemy i do Skarbowa.

*) Legawka w radomskiém i t. d. = fujarka, piszczałka z wylenionéj gliny. (Przyp. Red.)

Przysunęła krzesło, usiadła przy nim, rękę jego trzymając. On ani obejrzał się na nią. Cecylja dosłyszała tłumione westchnienie — spojrzała ku niemu: miał pełne łez oczy. Biedny żałował życia — a czuł, że ono ucieka! — Siostra, z duszą siostrzaną, zrozumiała wszystko — i głęboka boleść jéj serce ścisnęła.

Po chwili zaturkotało przed pałacem. Wszedł Węgielewski i oznajmił:

— Adolfku! przyjechali panowie Andrzéj i Mateusz.

— Opiekunowie moi!.. Moi zacni opiekunowie! wymówił chory z sarkazmem w głosie, z nagłym, płomiennym rumieńcem na zapadłych policzkach. — Tacy... troskliwi!..

— Przybyli ciebie powitać, odwiedzić.

— Bardzo pięknie!... Ucieszą się...

— Czy mam ich zaraz przyprowadzić?

— Owszém... Niech przyjdą.. czułych emocji... nie doznam — odrzekł na pozór obojętnie, lecz skrzywiły się jego usta i coś jakby nienawistnego zaiskrzyło mu w oku.

Pan Idzi wyszedł i gości wprowadził. Przystąpili do chorego zcicha a bacznie po barwistym dywanie.

— No, witamy, Adolfku! zagadał pan Andrzéj, całując go w czoło. — Szczerzem rad, że ciebie oglądam.

— Kochany Adolfku, witam cię z całego serca! uścisnął go pan Mateusz.

Adolf tylko głową skinął — i zmrużył oczy.

Cecylja powitała opiekunów, witana przez nich okazem życzliwości wielkiéj.

— Jak się masz, kochany panie Stefanie? zwrócił się do niego pan Andrzéj i uścisnął go.

— Witam, poczciwy mój i dobry panie! pan Mateusz w obadwa policzki pocałował małżonka Cecylji.

— Jakżeż się podoba u nas? zapytał pan Andrzéj.

— Bardzo dobrze. Czuję się tutaj szczęśliwym.

— Trzeba nam do Tarnówka pojechać — wtrącił pan Mateusz.

— Właśnie wybiera się tam Idzi z panem Stefanem — ozwała się pani Węgielewska.

— I pani Cecylja przecie także pojedzie?

— Ale dopiero, gdy Adolf sił nabierze więcéj — odrzekła kochająca siostra, i dłonią przycisnęła nieznacznie zbolałe serce.

Adolf głową poruszył — i wlepił źrenice znowu w przestrzeń przed sobą, słońcem przedzachodniém zróżowioną.

— To i jakżeż tam zdrowie, Adolfku? przystąpił pan Mateusz do pupila.

Adolf spojrzał i uśmiechnął się gorżko, jak gdyby chciał powiedzieć: czyliż nie widzicie?

— Wiosna, wiosna najlepszą będzie lekarką! dodał pan Andrzéj, przystępując doń także.

Stefan przysunął im fotele.

— Serdecznie dziękuję.

— Dziękuję, dziękuję! pan Andrzéj uścisnął mu rękę.

— Nie znajduję, ażeby Adolfek źle wyglądał — zauważył pan Andrzéj.

— Od dni ośmiu, jak przybył, już nieco przyszedł do siebie — ozwała się matka. — Rumieniaczek powraca.

— Będzie wkrótce dobrze zupełnie! pan Mateusz dotknął się lica chorego. — Wiosna uzdrowi i świeże powietrze pokrzepi, orzeźwi woń kwiatów i liści.

— Będzie zupełnie.... dobrze! powtórzył Adolf z ironją — za dni... niewiele będzie dobrze!... Dacie

mi wiosny kwiaty... za śmierć przedwczesną... w życia wiośnie!... Woń kwiatów... i świeży powiew... trupowi!

— Adolfku! Przez Boga żywego, co téż ty gadasz! zawołała matka, składając dłonie.

— Kwiaty... trupowi! zgrzytnął Adolf zębami.

— Żarty, Adolfku! ozwał się pan Andrzéj pomięszany nieco.

— Żarty?! powtórzył Adolf z nieokreśloną goryczą. — Żarty... w obec śmierci?

— Zdrów będziesz!

— Umieram... umieram w życia wiośnie... a byłem już od dawna... trupem żyjącym!... Panowie dopełniliście święcie... obowiązku opieki... za co dzięki wam!... Patrzcie na dzieło swoje... Dzięki wam!... Czy mnie rozumiecie?... A teraz... uroczyście dopełnicie reszty.. składając szczątki moje w grobie przedwczesnym...

— Adolfku, przez miłość Boga! pani Węgielewska błagalnie złożyła dłonie.

— Matko... mamo.... poszepnął chory głosem zmiękczonym tobie, matko... wyrzutów nie czynię... Słaba kobieta!... — dodał ciszéj — ależ ojczym!... usta jego skrzywiły się straszliwie.

— Doktorzy konsultowali wczoraj — wymówiła znowu matka, biorąc jego rękę.

— Tak, tak... konsultowali! na sinych ustach biednego sarkastyczny zaigrał uśmiech — konsultowali!... Och umieram... gasnę... a czuję, czém życie dla mnie być mogło!... Czém być powinno było!. Pragnę żyć... żyć dziś pragnę... po apatji, która... mnie trawiła... bo świat jest pięknym... tak bardzo pięknym!... Och, ja żyć pragnę!... — miał pełne łez oczy — a umrzeć muszę!... Stając przy otwartéj trumnie..

— Żyć będziesz! wtrąciła znowu matka, ściskając jego rękę.

— Za wiele mówisz, kochany! pochylił się Stefan ku niemu.

— Muszę wypowiedzieć... poznałem wartość życia... wdzięk jego... przy otwartym stojąc grobie!... Zbudziłem się z letargu zatrutego gdy życie ucieka!

— Zdrów będzięsz! Zdrów będziesz! wykrztusił pan Mateusz.

— Niesumienne zaniedbanie... lekceważenie podjętych... świętych obowiązków, panowie.. popchnęło mnie w szały życia... w odmęt... w kał.. Rzuciłem się w nurty.. a nikt nie ratował!

Z po za portjery Ździś zajrzał w téj chwili. Matka go zobaczyła i skinęła ażeby odszedł. Chłopiec ukrył się znowu za adamaszek zielony. — Opiekunowie siedzieli, niewiedząc co z sobą począć mieli. Pan Andrzéj trzymał złotą tabakierkę w ręku, a niby ruszyć się nie śmia. Pan Mateusz zakaszlał.

— Wróci zdrowie, wróci! pocieszał pierwszy.

— Uszło... niepowrotnie! machnął chory niecierpliwie ręką — i życie uchodzi... strawione w szaleństwie...

— Adolfku! Bracie najdroższy! Cecylja przyklękła, tuląc się do niego.

— I z ciebie... byłaby ofiara.. opieki!... Gdyby nie.. dobroczynna opatrzność!... Panowie!... Ktokolwiek podejmie... obowiązku... a nie dopilnuje go... popełnia zdradę!... Bo zdradża powierzoną sobie sprawę! Gdyby była.. i chęć życzliwa i wola dobra... bo taka bez czynu... staje się tylko.. pomostem do piekieł!... Och, ojczym!

Węgielewski ukazał się przy portjerze, lecz cofnął się nagle.

— Czy chcesz, by tu przyszedł? zapytała matka.

— Nie chcę.. — rzucił się nieszczęsny — przez wzgląd na ciebie, matko!

— Przestań już mówić! Zaszkodzisz sobie.

— Majaczy! poszepnął pan Andrzéj Stefanowi.

— Zobczałem dla kraju — zaczął Adolf znowu dziwnie rozrzewnionym głosem — zobojętniałem dla rodziny.. religji nie miałem... żadnéj!. I za to... dzięki wam!... Dziś. poznałem się na wszystkiém... gdy już zapóźno!... Pouczyły mnie długie noce bezsenne... rozbudziły myśli... i ohydnie sponiewierane życie... w straszliwych... przedstawiło się... rozmiarach!.. Teraz dopiero.. zrozumiałem życie... zrozumiałem obowiązki święte.. zrozumiałem... żem kraj kochać powinien... matkę!... siostrę!... Ale serca już nie staje.. a rozum nie zastąpi... go nigdy!... Jestem trupem... moralnie i fizycznie...

— Wyjdziesz z téj choroby, dziecko! zawołała znowu matka. — Dziś wszystko widzisz czarno, bo chorym jesteś.

— Czarno!.. Czarno!... Piekielnie!... wyrzucił głosem straszliwym.

— Nie mów już! Zmęczysz się...

— Mówię... nie za wiele... za mało jeszcze!

— Wysilisz się! Spokoju!

— Czyliż mi spokój... życie... przedłuży?... Nie... nie!... Wiosna... zieloność... niebo... kwiaty... widzę uroków tysiące... a umierać... muszę!... Siostra!... Stefan!... zacisnął konwulsyjnie dłonie.

Węgielewski poruszył znowu portjerę.

(Dokończenie nastąpi).

Kilka szczegółów z życia codziennego Joachima Lelewela.

W 1846 roku Lelewel stał nieomal na szczycie swéj autorskiéj sławy, — a w Bruxeli, gdzie przez kilkanaście lat ciągle w jedném mieszkaniu na drugiém piętrze, na ulicy Dębu (rue du Chène) przeżył — może jeszcze więcéj był czczonym, niż przez najzagorzalszych naszych dziejoznawów. Lud go uważał za jakąś świętą osobę.

Przed rewolucją 1831 pamiętam Lelewela w Warszawie, we fraku czarnym, butach ze złotemi kutasikami u cholew na wierzchu spodni — już wówczas niezwykłym stroju. W 1846 r. ujrzałem go znów w Bruxeli. Szedłem z Ferdynandem Mejznerem, mechanikiem i poetą Tespezjuszem Pogończykiem Dubieckim, autorem mało cenionego, a mimo to pełnego poezji poematu: „Wieszczby.“ Przy skręcie właśnie ulicy wpadającéj na rue du Chène uderzył o moje piersi jakiś człowiek w niebieskiéj bluzie tak silnie, żem się cofnął, — a on potoczył się i o mało nie upadł. „Cóż to za warjat!“ zawołałem Człowiek ów obejrzał się ciekawie za mną, a nacisnąwszy czapkę płaską, z ogromnym skórzanym rydelkiem, odwrócił się i zaczął galopować z prawéj nogi, daléj w kierunku, z jakiego przez uderzenie o mnie zboczył. Na mój wykrzyknik, Dubiecki szarpnął mnie za surdut i rzekł: „Cicho! to Lelewel.“ — „„Co, ten warjat? Czy on ma bzika?““ — „Nie — odrzekł mi Dubiecki — on nigdy nie wychodzi na przechadzkę, idąc tedy na obiad lub kolację, skacze tak — dla ćwiczenia ciała.

Tego samego wieczora poznałem się ze Lwem Sawaszkiewiczem, najulubieńszym uczniem Lelewela i jego codziennym domowym przyjacielem. Sawaszkiewicz był to człowiek znakomitéj wiedzy dziejowéj. Pisał był po angielsku Krasińskiemu Walerjanowi dzieło dowodzące, że Polska nie byłaby upadła, gdyby była została kal-

wińską za Zygmunta III, — a potém poróżniwszy się z Krasińskim, zkrytykował swą własną pod Walerjana nazwiskiem wydaną pracę jak najnielitościwiéj; był długi czas w Londynie współpracownikiem „Timesa“, w czasach gdy Times był piątą potęgą opinji całego świata. Salvandy'emu ministrowi napisał po francuzku dzieje Jana III, pod tegoż ministra nazwiskiem, ale które ów Francuz swemi dodatkami popsuł. Dwa inne po francuzku napisał dziełka: „Le génie de l'Orient“, Pietraszewskiego polecając zbiór sławny tureckich numizmatów, o które się ubiegały rządy: angielski, rosyjski i francuzki, a który nabył rząd pruski, dając profesurę w Berlinie Pietraszewskiemu; — i drugie: „Tableau de l'influence de la France sur les destinées de la Pologne“, w którém udowadnia, że Francję uratowała Polska od zguby razy cztery, — a ta przeciwnie wykopała Polsce grób. — Oprócz tego pisał Sawaszkiewicz wiele i po polsku, bardzo jędrnych artykułów do pism emigracyjnych. Nie miał atoli — jak to mówią, miru. Złośliwym dowcipem zrażał sobie ludzi próżnych i miałkich, nie umiał się giąć do okoliczności — i dla tego umarł w nędzy w szpitalu. Lelewel go bardzo lubił i z chlubą o nim mawiał: „to mój uczeń, — znam go od dziecka, to mój najlepszy uczeń.“

Sawaszkiewicz mnie od razu polubił, i żyliśmy przez pół roku jak najserdeczniéj. Gdym mu objawił życzenie, że Lelewelowi chcę hołd swój złożyć, — namówił mnie, ażebym poszedł rano o wpół do ósméj do niego, ażebym wszedł bez pukania, — i żebym mu powiedział jakąkolwiek nowinkę polityczną, króraby mu przypadała do gustu, — choćby nawet i była zmyśloną. Oburzyła mnie zrazu ta propozycja, ale chęć uczynienia Lelewelowi przyjemnostki — a może więcéj chęć ażeby dla mnie był łaskaw — zkusiła mnie: że ze Sawaszkiewiczem ułożyliśmy wspólnie śmieszną kombinację polityczną, emigracyjną ma się rozumieć.

O wpół do 8 rano w pierwszych dniach listopada 1846 r. stanąłem przede drzwiami dziejopisa i męża nibyto stanu, byłego ministra oświecenia. Na drzwiach była jego historyczną ręką napisana karteczka: „Proszę wchodzić bez pukania.“ Mimo to jakoś nie śmiałem wejść, nie uprzedziwszy go o zjawieniu się kogoś obcego. Zapukałem. Milczenie. Zapukałem raz wtóry mocniéj. Jeszcze milczenie. Zapukałem silnie po raz trzeci. Głos piskliwy z wewnątrz zawołał: entrez! Przekraczając przez próg, Lelewela spostrzegłem wyskakującego w koszuli z łóżka. W susach galopowych, jak wczoraj, przyskoczył ku mnie. — „Cóż to nie umiesz czytać!“ piskliwie zawołał i zaczął daléj skakać. Sądziłem, że rzeczywiście oszalał. Milczałem zakłopotany. Po kilku susach tu i tam stanął znów przedemną. „Czy umiesz czytać?“ zapytał. „Czego chcesz?“ — „„Czytać umiem i dość dobrze““ odparłem. — „A pocoś pukał?“ — „„Obawiałem się przeszkodzić!““ — „Mnie nikt nie przeszkodzi. Drzwi u mnie zawsze otwarte dla wszystkich. Czego chcesz?“ — „„Złożyć swój hołd jako Polak — polskiemu dziejopisowi, — a Jego Excelencji byłemu ministrowi oświecenia — jako pragnący światła.““ — „Głupiś!“ odparł bez ogródki, — „ja nie jestem Excelencją, — żadną Excelencją, — mów mi: obywatelu — nawet nie panie!... Jak się nazywasz? Co tu robisz? Długo tu zostaniesz?“ wypiskiwał daléj skacząc. „„Nazywam się tak a tak.““ — „Aa!... syn Ferdynanda! Aa!... znamy się z ojcem twym, — baraszkowaliśmy ze sobą... Uparty Rusin... Dziwi mnie, że ci tu do mnie przyjść pozwolił, — bo wiem że mnie nie cierpi — i ja jego...“ Urywkowo, zawsze skacząc cienkim swym i niemiłym głosikiem rzucał mi te słowa. Zniecierpliwiony, odparłem mu: „„Każdy jest synem swych własnych czynów, — nie przyszedłem tu jako syn Ferdynanda, lecz jako młodzieniec oddać cześć mężowi już zasłużonemu. Nie spodziewałem się przycinków i niegrzeczności, — a lubo umiałbym być bardzo niegrzecznym, to nie dla Lelewela.““ — „No tak, tak — widzisz bo — ojciec twój mi bardzo dokuczył... ale prawda, każdy jest synem swych czynów. Czemżeż mogę ci służyć?“ — „„Dobrem słowem““ odparłem, — a Lelewel zasapany wziął ów płaszcz, w którym jechał dwadzieścia kilka lat temu z Warszawy na posadę profesorską do Wilna — i zasiadł przy stoliku, na którym było kilka płyt oblepionych po brzegach woskiem i oblanych „królewską wodą.“ — „Siadaj tu!“ rzekł, i przysunął mi krzesełko z tego samego czasu, co i płaszcz. — „Cóż tam słychać nowego w Paryżu?“ zapytał po chwili, ale już trzymał w lewém ręku jakiś pieniążek, a prawą ręką rytował jego obrazek, z owemi drobniuteńkiemi literkami i rysunkiem, nie używając ani okularów, ani szkła powiększającego. Wzrok miał atoli tak krótki, że prawie nosem dotykał swego rysunku, a głównie patrzył prawem okiem. Wysłuchał méj nowiny, t. j. że Rybiński już się połączył z X. Adamem i że mają zamiar połączyć nawet Towarzystwo 3 Maja ze Zjednoczeniem, bo widzą — że rozdwojenie nie daleko prowadzi. Ten śmieszny wymysł uradował go mocno. Począł mi opowiadać szybko, śmiejąc się, o swych kombinacjach politycznych, o ich doniosłości, że się spodziewał — iż musi i 3 Maj uznać słuszność, — a lubo od czasu do czasu rylec opuszczał — żeby sobie ręce zacierać z radości albo nos utrzeć — to tak szybko, tak biegle rytował, żem się nie mógł temu nadziwić.

Tak siedział od wpół do 8 do wpół do 10, na nogach bosych mając filcowe papucie, a na sobie na koszuli ów płaszcz — niegdyś szaraczkowy, a teraz żółtopłowy, z podszewką wełnianą, kiedyś zieloną w czarne kraty, a dziś jakoś żółtą w kraty podejrzanego także koloru zielonawego. Intrygowała mnie na kolanie łatka płócienna czy bawełniana, dawniéj biała, a teraz barwy kawowéj i przypięta szpilką. Czasem gdy się odgięła, okazywała się barwa szaraczkowa sukna pod nią, ale w okół tego płatka była gruba jakaś warstwa ciemnobrązowa. To była jego chustka od nosa. Zażywał często tabakę, a że mu kapało często z nosa, owe krople zbierał palcem wskazującym i ten dopiero ocierał o ów płatek, przesuwając owym tabaczanym rozczynem płatka granice.

O wpół do dziesiątéj powstał — i zabrał się do gotowania kawy na maleńkiéj maszynce — spirytusem. W mgnieniu oka owych kilka łyżeczek płynu wrzało. Postawił obok minjaturową filiżaneczkę, niby do zabawek dzieciom, wziął bułkę jak nasze dwugroszowe okrągłe, przełamał i połowę położył obok filiżanki. Gdy kawa kipieć zaczęła, zdmuchnął spirytus i wyszukawszy skarpetkę, już od dawna przeznaczoną do innego niż zwykle użytku, co świadczył jéj kolor, kolor Lelewela chustki do nosa, — przelał ów płyn wrzący w tę skarpetkę, nie umywszy rąk, przeciskał między wielkim a wskazującym palcem — fusy zostawiając w skarpetce — do wygotowania na przyszły raz. Mdło mi się robiło patrząc na te operacje — i błogosławiłem mu w duszy, że mnie na tę kawę — nie zaprosił. Tłómaczył się — że dziś się spóźnił, bo się zagadał i na moje kilkakrotne już zrywanie się, ażeby odejść, prosił mnie ażebym jeszcze został. Uczyniłem to tém chętniéj, że oprócz banialuk politycznych, nasłuchałem się obficie rzucanych ciekawych szczegółów z dziejów europejskich, a mianowicie polskich. Zjadłszy owe pół bułeczki i wypiwszy ów naparstek kawy, — a było to całe jego śniadanie aż do obiadu — zaczął się golić — bez lusterka — wielkiemi nożycami od papieru, chwytając między ich ramiona skórę, która się przy ścieśnianiu ramion nożycowych wysmykała, a z nożyc spadały bardzo lichéj i rzadkiéj jego brody odcięte włoski. Palcem potém wyszukiwał miejsc, które pominął nożycami. Opowiadał

przytém wesoło, jak on tęsknił kiedyś za brodą, aż nareszcie i doczekał się wcale — „przyzwojitego zarostu."

Chciałem odejść, bo mi było tak zimno, żem xiążek, które mi z kupy, w kącie pod lewem oknem leżących, stósownie do swych opowiadań wybierać kazał — nie mógł utrzymać w ręku, i często je zacierałem, — a on rytował!.. Około 10 porwał się z krzesełka, pobiegł do okna, spojrzał na termometr i ujrzawszy że znaczył dziewięć (Reaum.) stopni ciepła, otworzył okno, gniewając się, że tak silnie napalili w kawiarni. Na dole bowiem w kawiarni od pieca przeprowadzono mu rurę aż do pieca jego pokoju na drugie piętro — i tém ciepłem ogrzewał się jego piec. Okno zostawił otwarte dopóki temperatura w pokoju nie spadła na 6 stopni.

Przez czas otwarcia okna przy kilkustopniowym mrozie, zaczął mi czytać z maleńkiéj xiążeczki swój „Sejm Matek Boskich", płaską satyrę, w któréj się Matki Bozkie cudami słynące upierają gminnie o pierwszeństwo. Podarował mi wówczas dwie inne prace swoje! „Phytheas de Marseille" i „Stracone obywatelstwo stanu kmiecego" — i tłómaczył się, że mi téj satyry dać nie może, bo to już jego unikat i dziś bardzo wielka rzadkość.

Potém znów się zabrał rączo do pracy w tym zimnym, obszernym i brudnym, o dwóch oknach z framugą pokoju, w którym pisał swe „Narody na ziemiach słowiańskich" i tyle arcydzieł w swojim rodzaju, a do których wszystkie ilustracje sam rytował. Wówczas rytował pomnik Bolesława Śmiałego w Ossiaku i drzwi katedry gnieźnieńskiéj, a przytém pieniążki.

W pokoju tym nie było kanapy, tyiko stół średniéj wielkości pomiędzy oknami, odsunięty od ściany na kilka kroków. Po prawéj stronie framuga, w niéj łóżko. Pod łóżkiem i w nogach skrzynie i skrzynki ze zbiorami numizmatów i medalów. Przy framudze mały stolik, na którym owe przybory do kawy, — mały piecyk z rurą wpuszczoną w piec większy kaflowy, ogrzewany z dołu. Kilka krzeseł, parawan przy drzwiach. Tamże szafa do sukien — znów stolik i krzesła dwa na których leżały foljały rzadkich dzieł, jak n. p. Bayl'a pierwsze wydanie, Montfaucon, Dzieje matematyki, a na kupie bez ładu widocznego — bardzo rzadkie dzieła, inkunabuły polskie i łacińskie, atlasy i rękopisma. Z téj kupy wydostawał od razu co tylko zażądał, a gdy wyjmować miałem xiążki — kierować mnie siedząc na miejscu i zalecał tylko, ażeby nie przewracać mu, tylko tę xiążkę wyciągnąć, któréj dotknąć się kazał.

Krótko przed 12 ubrał się w bluzę i wyszliśmy razem — na obiad. On galopując to z lewéj to z prawéj nogi, — a ja niby rysak szedłem zwykłym krokiem, po jego lewéj ręce. Po drodze był milczącym, często kłaniać się musiał, bo go witano ukłonami gęsto, — aż zjajany stanął przed bardzo lichym szynkiem, już nie pomnę na któréj ulicy — i wszedłszy, pomiędzy robotnikami zasiedliśmy do bardzo skromnego obiadu, za franka dla mnie jako niezwykłego gościa, — a dla niego tańszy jako dla stołownika.

Szynkarka, stara dość kobieta, jak i robotnicy powitali Lelewela z czcią, powstając z miejsca. Obiad składał się ze zupy, kawałątka mięsa i nieco jarzynki, trzech kartofelków w łupinach, kawałeczka chleba i szklaneczki piwa.

To był pierwszy dzień — dla mnie dziś uroczystego wspomnienia, — w którym do tyla umiałem sobie tego wielkiego dziejopisa zjednać, — żem odtąd prawie codziennym przez pół roku był jego gościem — a raczéj uczniem.

Obejście się jego jak dla mnie było bardzo miłém, z rzadka się pytał, — na odpowiedź nie czekał, — a opowiadał czasami tak czarująco, że godziny niepostrzeżenie mijały. Przy tych opowiadaniach rylca nie wypuszczał z dłoni — i cieszyło go to bardzo, gdy go kto cierpliwie słuchał. Na pochlebstwa był jak dziecko na cukier łakomy, — i tracili u niego względy ci, którzy mu ustnie przeczyli. Drażniła go mniéj zaczepka pisemna. Zresztą był bardzo łatwo wrażliwym, a z innéj strony niecierpiał nizko się kłaniających lub salonowo-grzecznie ułożonych. „Wolę prostaków, wolę prostaków", wołał, gdy raz jakiś elegancki młodzian z Wołynia złożył mu swe uszanowanie i więcéj mówił niż słuchał, — a mówił wcale do rzeczy i na mnie bardzo miłe zrobił wrażenie. Instrukcjom Sawaszkiewicza zawdzięczam to, że mnie Lelewel polubił. — bo z Mickiewiczem starłem się stanowczo i nieprzyjemnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Do płaczącego niemowlęcia.

(Tłumaczone z francuzkiego*).

Cyt, cyt dzieweczko — nie płacz mój aniele!
W dniu gdy nam zesłał z niebios ciebie Bóg,
Tak zapłakałaś drżąc na całém ciele:
Żem kłopot tajny twój odgadnąć mógł.
I cały w trwodze wziąłem cię w ramiona
Czułem, że żal ci znikłych nieba stref...
Cyt!... Twego żalu człowiek nie pokona
Lecz idzie Anioł... Słyszysz mamy śpiew?.

Czegóż się trwożysz w żywota zaraniu? —
Rozkoszy życia jeszcze nie znasz nic.
Bóg cię poruczył naszemu staraniu,
Szczęście nam błysło z blaskiem twoich lic.
A ileż jeszcze dasz go nam w przyszłości!..
Zapomnij nieba — jak błogiego snu! —
Jeżli aniołów trzeba ci miłości
Ukój się, — widzisz, — mama idzie tu.

Uczuć i skarbów dla twojéj swobody,
Co można skrzętnie skupiamy w twój próg..
Dziw!.. że najkrwawsze żywota zawody
Znośne nam czyni w twych pieszczotach Bóg..
O jeżli kiedyś w twéj pogodnéj doli
Zsępi się chwila, — nie lękaj się burz.
Znajdziesz opiekę daną z Bożéj woli:
Nją jest twa mama — ten twój anioł stróż.

W. hr. Ch.

*) Autorem tych wierszy jest pewien Belg — nieznany wcale w literaturze z nazwiska. Drukował je na osobnéj ćwiartce dla rozdania przyjaciołom. Panujące w nich uczucie miłości ojca i męża — prawie nieznana struna w literaturze francuzkiéj — i poezyjny prawdziwie lot uczuć — zniewoliły nas do przyswojenia téj perełki — ojczystéj mowie.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Dzieło Cycerona: „De republica" w dwukrotnym polskim przekładzie: Rykaczewskiego i Sadowskiego.

Jest to ogólne znamię bieżącéj literatury polskiéj, że się okazują mnogie encyklopedje i przekłady dzieł poważnych. Zaledwie ukończono wielką encyklopedję w 27 tomach, aliści wychodzą równocześnie aż 5 różnych encyklopedji polskich: dwie powszechne w 8 tomach, jedna podręczna w dwóch tomach, daléj encyklopedja rolnicza i encyklopedja handlowa. Ważném zjawiskiem jest ta okoliczność, że wszystkie te encyklopedyczne publikacje wydaje Warszawa, jakby chciała tym sposobem okazać, że zawsze w niéj trza upatrywać głowę i serce narodu. Co do przekładów dzieł poważnych, Szekspir od mnogich lat po całéj wykłuwa się Polsce. Dawniéj pielęgnowało go Wilno, późniéj okazał się w Warszawie, następnie wydał go Poznań w przekładzie Koźmiana, nawet Lwów w przekładach Pajgerta i pono Pileta. Po Szekspirze idzie Dante ze swoją nieboską czyli właściwie olbrzymią komedją. Przekład Korsaka, wydany w Warszawie, jeszcze się należycie nie rozpowszechnił, a już ukazał się w Poznaniu inny przekład Stanisławskiego. Siemieński w Krakowie wzorowo tłumaczy i wydaje Homera. W Poznaniu do niedawna wychodziły Bronikowskiego przekłady Herodota, Thucydidesa, Homera, Platona, Xenofonta. Nuż E. Rykaczewski, chociaż cierpiący, na łożu bolesnym w przyjacielskim i gościnnym domu hr. Skórzewskich w Lubostroniu w Poznańskiém, zaimponował swoim przekładem całego Cycerona w ogromnych 7 tomach, pełne not, pełne uczoności. Ale bo i Henryk Sadowski nie próżnuje i wydał przekład tegoż Cycerona „o Rzeczypospolitéj." Kiedy przekład Sadowskiego wyszedł w Warszawie z drukarni Keltera przy ul. Trembackie, dzieła Cycerona w przekładzie Rykaczewskiepo wydaje hr. Jan Działyński w Kórniku w Poznańskiém. A ponieważ ten sam pan hr. Jan wydał oprócz tego w równie pięknéj edycji komedje Plauta w przekładzie Wolframa, tragedje Eszylosa i Sofoklesa w przekładzie Węclewskiego, niemniéj inne ważne a naukowe dzieła z dziedziny nauk ścisłych, więc rzecz oczywista, że hr. Jan jest i chce pozostać nieodrodnym synem nieboszczyka hr. Tytusa Działyńskiego, wiekopomnego nakładcy Tomicianów. Prócz Działyńskich świeci na horyzoncie poznańskim Raczyńskiego publiczna bibljoteka. Królestwo znów ma swoich Świdzińskich i Krasińskich, którzy wydają bibljotekę ordynacką; Litwa ma Tyszkiewiczów, Przeździeckich, Galicja posiada zakład Ossolińskiego, posiada gabinet zoologiczny hr. Dzieduszyckiego, posiada hr. Baworowskiego, przyszłego fundatora naukowego zakładu w Tarnopolu. A Kraków? Kraków pyszni się akademją umiejętności i nauk.

Szybki i zapewne niedokładny ten przegląd przekonuje, że duch narodowy cnych Polaków krępowany dawniéj anarchją, następnie niewolą a zawsze zachciankami księży, jest na drodze odzyskania swych praw, aby okazać światu swoje żywotne siły i co potrafi. Naród, który od stu lat pozbawiony bytu państwowego a tém samém swojskich uniwersytetów i swojskiéj umiejętności, nadto ciemiężony wszelkiemi sposoby, wydaje mimo najopłakańszych stósunków ekonomiczno-społecznych, tyle naukowych zakładów i mecenasów literatury a obok tego przekłady dzieł podobnego zakroju co Cycerona o Rzeczypospolitéj, taki naród nie jest trupem i wart odzyskać swoją niepodległość. Ale wiedząc dobrze, że wszystkie te wywody są grochem o ścianę w obec zarozumiałości, nierozsądku i skamieniałości naszych nieprzyjaciół, wracamy do naszego zadania.

Jest to wielki niedostatek w naszéj literaturze, że nie mamy obszernego dzieła o życiu, pismach i działalności Cycerona. Istotnie można powiedzieć, że Cycero a nie Pliniusz starszy był tym samym uniwersalnym jeniuszem w Rzymie, jakim Aristoteles w greckim świecie. Korząc się przed ogromem wiedzy, a jeszcze bardziéj przed bystrością i potęgą umysłu stagirity, musimy Cyceronowi dwojaką wyższość przyznać: najpierw, że jest wybornym stylistą, podczas gdy dzieła Aristotelesa strasznie zawiłym pisane językiem; powtóre, że powaga Aristotelesa była nieporównanie większą w uczonym świecie średnich wieków, niżeli w nowożytnéj umiejętności, zaś co do Cycerona możnaby powiedzieć, że coraz więcéj jest lubianym i czytanym. Bo nie wiedzieć co w nim więcéj podziwiać: czy mówcę, czy moralistę, czy filozofa, czy polityka, czy też prawodawcę. Równie krytykę i teorję wymowy nie zostawił na uboczu, owszém napisał o nich wzorowych kilka traktatów do teraz wielkie wzięcie mających. Lecz każdy, by największy pisarz, ma swoje arcydzieło, w którém i sam najbardziéj sobie lubuje i publiczność najwięcéj to dzieło ceni. Tém arcydziełem między pismami Cycerona jest traktat o Rzeczypospolitéj w sześciu księgach. Jeśli kiedy, to przy tym traktacie okazał się los zawistnym a nawet niesprawiedliwym dla ludzkości. Posłuchajmy, co o rękopiśmie dzieła Cycerona mówi Sadowski we wstępie do swego przekładu na str. XII: „Cycero długi czas pracował nad swym traktatem o Rzeczypospolitéj. Gdy był u steru władzy, jak sam się wyraża, począł zbierać materjał, ale nadzwyczajne zajęcie około urzędu, zmusiło go do zawieszenia podjętéj pracy, do któréj znów zabrał się po powrocie z wygnania, ukończył zaś dopiero około 53 r. życia, na lat 54 przed Chr." — Zaś losy rękopisu przedziwnéj pracy Cycerona opisuje Rykaczewski we wstępie do swego przekładu (dzieła Cycerona tom VI, arkusz 29, str. X): „Za panowania Augusta żaden pisarz, wyjąwszy Liwiusza, nie śmiał wspomnieć imienia Cycerona. Ale w następnych wiekach, aż do siódmego, wspominają o nim a mianowicie o jego Rzeczypospolitéj Seneka, Pliniusz starszy, Swetoniusz, A. Gellusz, Fronto, Noniusz, Lamprydiusz, Laktancyusz, Ambrozyusz, Ammian Marcellinus, Filargiriusz, Makrobiusz, Charisiusz, Diomedes, święci Augustyn i Hieronim, Nektariusz, Boecyusz, Pryscynanus, Izydor. — Lamprydiusz w żywocie Alexandra Sewera powiada, że ten młody cesarz żadnych z pilniejszą uwagą dzieł nie czytał, jak Cycerona o powinnościach i o Rzeczypospolitéj. Pierwsi pisarze chrześcijańscy Laktancyusz i św. Augustyn, który piękne swe dzieło de civitate dei na wzór Rzeczypospolitéj Cecyrona napisał, znaleźli w jéj sześciu księgach potężny oręż w walce z bałwochwalstwem i wielobóztwem. Tak są wzniosłe i prawdziwe jego w téj mierze wyobrażenia, że ci pierwsi rycerze chrześcijańscy w niektórych miejscach dzieł swojich widocznie go naśladują, w innych żywcem z niego wypisują. Drudzy, jak wszyscy gramatycy, wybrali z niego krótkie tylko okresy, dla opisania znaczenia niektórych wyrazów. Po Izydorze z Sewilli, siódmego wieku pisarzu, w dziesiątym dopiero znajdujemy wzmiankę o Rzeczypospolitéj Cycerona. Papież Sylwester II będąc jeszcze arcybiskupem Reimskim, pisał o tém dziele do scholastyka Konstantyna. Potém w XII wieku żyjący Jan z Salisbury przywodzi z niego w swym Polikratyku wyjątek o poetach dłuższy, niżeli u św. Augustyna. Po wieku dwunastym nie ma śladu, żeby kto czytał lub widział dzieło Cycerona o Rzeczypospolitéj. Szukał go w wieku XIV z polecenia papieża Klemensa VI Petrarka, ale napróżno. Szukał go także nadaremnie w XV wieku Poggis, który tyle zatraconych dzieł starożytnych a między innemi Kwintyliana znalazł. W XVI wieku kardynał Pool, Anglik, usłyszawszy, że

rękopism tego dzieła ukrywa się gdzieś w Polsce, posłał dla wynalezienia onego, na co wyłożył 1000 talarów złotych, także nadaremnie. Dwa następne wieki (XVII i XVIII) nie były szczęśliwsze od poprzednich w wynalezieniu zatraconego dzieła i aż do szczęśliwego odkrycia r. 1820 przez Angelo Mai w bibljotece watykańskiéj, znano tylko przez sześćset lat piękny z niego ustęp: Sen Scypiona, dochowany przez Makrobiusza, tudzież kilka urywków z gramatyków pierwszych sześciu wieków. Angelo Mai odkrył niniejsze dzieło Cycerona na Palimpsescie i ogłosił go drukiem r. 1822. Rękopism jest pergaminowy. Na wyskrobanéj Rzeczypospolitéj Cycerona napisano przed X wiekiem komentarz św. Augustyna nad psalmami Dawida. Palimpsest czyli skrobany i ponownie zapisany rękopism, w całości czasów naszych nie doszedł. Zawierał kart 656, zaginęło z nich 364; a zatém pod komentarzem św. Augustyna dochowało się trochę więcéj niż trzecia część dzieła Cycerona." Tyle Rykaczewski. — Z tego widzimy, że Cycerona o Rzeczypospolitéj podziwiali także ojcowie kościoła, skoro św. Augustyn nietylko ją wypisywał, ale także naśladował. A więc to pismo nie było niebezpieczne ani szkodliwe dla religji chrześcijańskiéj. Dla czegoż tedy zostało zatracone? Bo że przy zatraceniu nietylko traf ale umyślna ręka ludzka działała, widzimy w skrzętności i dokładności zatracenia takiego pisma, które, jako ogólnie czytane i podziwiane, mnóstwo musiało mieć odpisów. Że podobne do Cycerona Rzeczypospolitéj Aristotelesa dzieło o 8 xięgach, w których opisał i zbadał urządzenia społeczne i formy rządów 158 państw greckich, na zawsze zaginęło, to nie dowodzi, jakoby także dzieło Cycerona przypadkiem mogło zaginąć, bo o dziele Aristotelesa nigdzie nie ma wzmianki, że ogólnie było czytane i to dzieło nikt nie excyrpował ani naśladował. Przeciwnie Cycerona Rzeczpospolita była niezliczone razy przepisywana, excyrpowana i naśladowana, a przytém tyle lubiana i ceniona, iż wielu ludzi czas i pieniądze na jéj odszukanie łożyli. Zdaje się więc, że przy jéj zatraceniu nietylko traf losu, ale i podstęp ludzi musiał działać. Przypomina to wytępienie dzieła Włocha Paleariusza p. t. o łasce Chrystusa ukrzyżowanego, które lubo w wielu exemplarzach i mnogich wydaniach w XVI wieku drukowane, przecież z taką dokładnością zostało wytępione, iż w całych Włoszech nie można go było odszukać i dopiero 1843 r. wynaleziono szczególny jeden exemplarz w jednéj bibljotece angielskiéj. Mój przekład Paleariusza, wydany r. 1860, został także na spalenie skazany, o czém czytałem rozporządzenie biskupa z Przemyśla i nawet z ambon głosili księża zakaz czytania.

Wracamy do Cycerona „de republica." Cel tego dzieła wyraża Rykaczewski (t. VI, ark. 29, str. III) temi słowy: „Autor założył sobie w nim okazać, jaką polityką, przez jakie prawa i obyczaje lud rzymski doszedł do panowania nad światem." Zaiste ważny i pouczający ten przedmiot wart był natężenia i pióra Cycerona. Daléj mówi Rykaczewski: „W żadném inném swojém dziele Cycero nie miał większego upodobania, o żadném w swych listach i innych pismach częściéj nie wspominał. Było to jego najukochańsze dziecko, do którego z całą miłością ojcowską był przywiązany." — Otóż Polacy musieli pół wieku czekać zanim ten klejnot literatury i mądrości politycznéj okazał się w ich szacie. Jakoż od wydania rękopisu wynalezionego przez Maja r. 1820 do r. 1873 minęło 53 lat, ale za to jakby na umówione hasło i za czarodziejskim znakiem, jednocześnie, bo w jednym 1875 r. wyszły aż dwa polskie tłumaczenia republiki Cycerona: Rykaczewskiego w Poznaniu, Sadowskiego w Warszawie. Jest to dobry znak, że na różnych miejscach Polski i bez żadnego porozumienia czujemy potrzebę zapoznania publiczności z dziełami wielkiéj wagi i ceny i nie zadawalniamy się już zdawkową monetą. — Henryk Sadowski w r. 1871 przełożył i wydał Sen Scypiona z uwagami i poglądem na rozwój filozofji rzymskiéj; obecnie uzupełnił tę pracę, wydając przekład całéj, ile się dochowała, republiki Cycerona. Czy co więcéj Sadowski wydał, nie jest nam wiadomo. Że ś. p. Rykaczewski był wytrawny uczony i lingwista, o tym mówić nie potrzeba. Chcąc zapoznać szerszą publiczność ze sposobem spolszczenia dwóch tych tłumaczów najważniejszego Cycerona dzieła, które dotychczas nie było przyswojone polskiéj literaturze, porównaliśmy obydwa przekłady z oryginałem a poczynione wypisy niektórych ustępów umieszczamy poniżéj. Nie wiemy, jaki sąd wypadnie czytelnika i czyj przekład uzna lepszym. Nam wydał się Rykaczewskiego wierniejszy. Sadowski zanadto czasem wymowy używa, co zdaje się nie wypadało czynić, boć Cycero sam przez się dość jest wymownym. Z drugiéj strony trza przyznać, że niektóre wyrażenia i zwroty w Sadowskim tchną niepospolitą miłością patrjotyzmu i czuć ukontentowanie tłumacza jeśli ma sposobność wyrazić to, co mu cięży na sercu i duszy. Styl Rykaczewskiego jest poważny, tłumaczenie wierne a słów używa jedynie tyle, ile wymaga należyte oddanie oryginału, w ogóle Rykaczewski nie sili się być wymowniejszym od Cycerona. W końcu musimy i to zauważyć, że Rykaczewski prawie całego Cycerona tłumaczył wtedy, gdy już nie był zdrów, a ostatnie tomy, w których właśnie znajduje się traktat o Rzeczypospolitéj, zastały go na łożu śmiertelnym. Mimo to język w jego przekładzie nie stracił na świeżości. Zastanawia, że p. Powidaj, literacki sprawozdawca „Przeglądu polskiego", pisząc w zeszycie marcowym b. r. o przekładzie Cycerona przez Rykaczewskiego, nic nie wspomniał o Sadowskiego tłumaczeniu.

Z xięgi pierwszéj rozdz. I. Duo Scipiones. — Rykaczewski: dwaj Scypionowie. Sadowski: dwaj wojownicy z rodu Scypionów.

Qui iisdem rebus studemus, quasi exemplari ad industriam virtutemque ducimur. — Ryk.: co się o to samo staramy, jak za przewodnikiem drogą cnotliwego i czynnego życia idziemy. Sad.: poświęceni usługom ojczyzny, uważają teraz za wzór roztropności i cnoty.

Certe licuit Tusculi se in otio delectare, salubri et propinquo loco. — R.: pewnie wolno było w Tusculum, zdrowém i blizkiém Rzymu miejscu, rozkosznie próżnować. S.: może bez wątpienia, opodal Rzymu, napawać się w Tuskulum świeżém powietrzem i słodyczami spoczynku.

Sed homo demens, ut isti putant, cum cogeret eum necessitas nulla, in his undis et tempestatibus ad summam senectutem maluit jactari, quam in illa tranquillitate atque otio jucundissime vivere. — R.: Ale też człowiek szalony, jak ci ludzie mniemają, wolał, kiedy go żadna konieczność nie przymuszała, być miotanym do późnéj starości temi wzburzonemi falami, aniżeli prowadzić w onéj spokojności i bezczynności najprzyjemniejsze życie. S.: Lecz nie, ten szaleniec według mniemania Epikurejczyków, przekładał nad rozkoszne życie, wśród spokoju i ciszy, owe publiczne burze, w których pozostał aż do późnéj starości, chociaż do tego nic go nie zmuszało.

Quorum singuli saluti huic civitati fuerunt. — R.: z których każdy był obrońcą téj Rzeczypospolitéj. S.: którym państwo zawdzięcza swe ocalenie.

Unum hoc definio, tantam esse necessitatem virtutis generi hominum a natura, tantumque amorem ad communem salutem defendendam dotum, ut ea vis omnia blandimenta voluptatis otiique vicerit. — R.: To tylko mówię, że przyrodzenie nadało rodzajowi ludzkiemu tak niezbędną potrzebę cnoty, taką chęć gorącą bronienia spólnéj całości, że to mocne uczucie przezwycięża wszystkie ponęty odpoczynku i rozkoszy. S.: Dość jest widzieć, iż natura obdarzyła człowieka taką koniecznością cnoty, oraz miłością pracy dla dobra ogółu, iż siła ta góruje nad wszelkiemi powabami i zachwytami roskoszy.

Rozdz. II. Nec vero habere virtutem satis est, quasi artem aliquam, nisi utare. — R.: Ale nie dosyć jest mieć cnotę, jakby sztukę jaką, jeżeli jéj nie używasz. S.: Nie sądźcie jednak, aby cnota była sztuką, którą dość jest umieć, nie stwierdzając w praktyce.

Rozdz. XXXII. Nulla regni sancta societas nec fides est. — R.: W monarchji nie ma dobréj wiary, ani dotrzymania umowy. S.: Na cóż się zda wiara gdy idzie o tron?

Z xięgi drugiéj rozdz. I. Nam neque ullum ingenium tantum extitisse dicebat, ut quem res nulla fugeret quisquam aliquando fuisset; neque cuncta ingenia collata in unum tantum posse uno tempore providere, ut omnia complecterentur sine rerum usu ac vetustate. — R.: Bo, dodawał. nigdy nie było tak wielkiego geniuszu, żeby nic nie uszło jego uwagi; ani wszystkie geniusze razem zebrane nie mogłyby w przeciągu pewnego czasu wszystko przewidzieć i ogarnąć bez pomocy doświadczenia i dawności. S.: W istocie, mówił daléj, nigdy natura nie wydała takiego genjusza, po którym niepozostawałoby już nic do zrobienia, i gdyby nawet pewna epoka skupiła w sobie największych mędrców, to przecież zabrakłoby im doświadczenia i czasu, aby mogli wszystko przewidzieć i wszystko objąć.

Rozdz. XI. Tu mihi videris utrumque facturus; es enim ita ingressus, ut quae ipse reperias tribuere aliis malis, quam, ut facit apud Platonem Socrates, ipse fingere; et illa de urbis situ revoces ad rationem, quae a Romulo casu aut necessitate facta sunt; et disputes non vaganti oratione, sed defixa in una republica. Quare perge, ut instituí isti: prospicere enim jam videor te reliquos reges persequentem quasi perfectam rem publicam. — R.: Zdaje mi się, że chcesz połączyć oba te sposoby; i tak od samego początku wolisz swe wynalazki innym przypisywać, niżeli, jak Sokrates u Platona, sam wymyślać; w wyborze miejsca na Rzym, przyznajesz rozumowi Romula, co było dziełem przypadku lub konieczności; mowa twoja nie błąka się tu i owdzie, ale jest zwrócona na jedno tylko państwo. Postępuj więc jak zacząłeś, bo zdaje mi się, że przebiegając dzieła innych królów, okażesz nam ich rząd doprowadzony przez nich do doskonałości. S.: Zdaje mi się, iż chcesz połączyć obie metody, gdyż nie zapominasz wcale o teorji, chociaż wysnute pojęcia przypisujesz drugim i nie przemawiasz we własném imieniu, jak to czyni Sokrates u Platona, nadto uszykowałeś w jeden systemat wszystkie prace, jakie od założenia Rzymu, czy z konieczności czy téż przypadkowo dokonał Romulus; z drugiéj strony twoja fantazja nie błąka się po całym przestworze, lecz uważnie zwraca swój wzrok na jedno państwo. Postępuj i nadal tą samą drogą, a jestem pewien, iż przy rozbiorze panowania następnych królów, przedstawisz nam zupełny i doskonały ustrój państwa.

Rozdz. XXII. Eosque ita disparavit ut suffragia non in multitudinis sed in locupletionis potestate essent; curavitque, quod semper in republica tenendum est, ne plurimum valeant plurimi. — R.: i tak jednych od drugich rozróżnił, że głosy pozostały nie przy mnóstwie, ale przy bogatych, mając na to baczenie, co zawsze w Rzeczypospolitéj zachować trzeba, żeby większa liczba nie najwięcéj mogła. S.: Wierny niewzruszonéj polityczněj zasadzie, ażeby w państwie najliczniejsi nie byli najpotężniejsi, wszystkie te podziały urządził w sposób zapewniający w głosowaniu bogatym stanowczą przewagę nad pospólstwem.

Rozdz. XXXIII. Id enim tenete, quod in initio dixi, nisi aequabilis haec in civitate compensatio sit et juris et officii et muneris, ut et potestatis satis in magistratibus, et auctoritatis in principum consilio, et libertatis in populo sit, non posse hunc incommutabilem reipublicae conservari statum. — R.: Zatrzymajcie w pamięci co na początku powiedziałem, że państwo, w którém nie ma równego podziału praw i obowiązków, w którém urząd nie ma dosyć władzy, rada publiczna dosyć powagi, lud dosyć wolności, długo w nieodmiennym stanie utrzymać się nie może. S.: Pamiętacie zapewne jednę z moich zasad na początku wypowiedzianych: jeżeli w jakiém państwie nie ma doskonałéj równowagi praw, obowiązków i zatrudnień, jeżeli urzędnicy nie mają dostatecznéj władzy, rada znakomitych obywateli dość wpływu, lud odpowiedniéj wolności, tam rewolucje są nieuniknioném następstwem.

XXXVIII. Quoniam nihil ex te, Africane, hi majores natu requirunt, ex me audies quid in oratione tua desiderem. — R.: Ponieważ starsi nic nie mówią, powiem ci, Scipionie, czego wyciągam w twéj mowie. — S.: Ponieważ starsi milczą i nie narzucają ci żadnéj kwestji, czy chcesz wiedzieć Scypionie, cobym chciał usłyszeć w twojéj rozprawie?

Z księgi trzeciéj rozdz. III. Quem nemo ferro potuit superare nec auro. — R.: którego nikt żelazem nie mógł zwyciężyć ani złotem. S.: nigdy ani złoto ani żelazo nie zwyciężyło wielkości jego duszy.

Z księgi piątéj rozdz. I. Moribus antiquis res stat romana virisque. — R.: Rzym stoi staremi obyczajami i wielkimi mężami. S.: Dawnym obyczajom i bohaterom Rzym swoją wielkość zawdzięcza.

Z księgi szóstéj rozdz. VIII. Sed sic, Scipio, ut avus hic tuus, ut ego, qui te genui, justitiam cole et pietatem: quae cum sit magna in parentibus et propinquis, tum in patria maxima est. — R.: Ale jak twój dziad, jak ja, który cię spłodziłem, bądź sprawiedliwym i bogobojnym, kochaj krewnych i powinowatych, a więcéj jeszcze ojczyznę. S.: Lecz Scipionie, uprawiaj sprawiedliwość i miłość, jak ten oto dziad twój i ja, co cię zrodziłem; miłość, która o ile jest wielką dla rodziców i bliźnich, tém większą dla ojczyzny być winna.

A. Sozański.

ROZMAITOŚCI.

Niepospolity człowiek. — (Tłumaczenie z angielskiego*).

Był raz staruszek — człek niepospolity.
Twierdził że się urodził — z kobiety!
I trudno wierzyć, — lecz sam to powtarzał:
Że był dziecięciem zanim się — zestarzał!...

Gdy czuł apetyt — coś pragnął do jadła;
I zjadł natychmiast strawę co podpadła.
Gdy był spragnionym — wypijał co żywo —
I niż złą wodę — wolał dobre piwo.

Gdy było ciemno, — za to mi ręczono, —
Szczególniéj w nocy — nic nie widział pono,
Lecz widział dobrze w dzień, — i całe życie
Dniem czuwał — nocą sypiał wyśmienicie...

Gdy gadał — zawsze poruszał wargami,
Gdy chodził — a to widzieliśmy sami —
Szedł zawsze ścieżką, ulicą lub drogą
Raz tą, — raz tamtą przebierając nogą.

I to rzecz dziwna, — wyglądał zbrudzony
Gdy się nie umył, — nie był ogolony.
A nadzwyczajnym rozrządzenia losem
Usta miał między podbródkiem i nosem.

Nigdy nie chodził — gdy leżał lub siedział.
Znał wszystko oprócz tego co nie wiedział,
Lecz najważniejszém to — o téj osobie
Że żyłby do dziś — gdyby nie legł — w grobie.

Sydalw Chochlik.

*) Ulubiona ta i od dwóch wieków blizko często towarzysząca wesołym angielskim gronom śpiewka, jest charakterystyczną dla humoru swego czysto angielskiego, który dziś już znika. A że i u nas nawet pomiędzy naszemi znakomitościami parafialnemi są tacy niepospolici ludzie — warto sobie ich wielkie zasługi przypomnieć.

Odpowiedzialny redaktor Wilhelm Pohl. — Nakładem E. Calliera. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Główny skład w Poznaniu w księgarni Tygodnika Wielkopolskiego, w księgarni K. Reyznera i u M. Leitgebera.